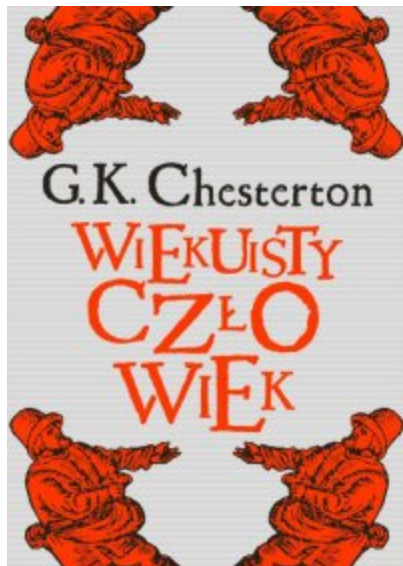


## Wiekuiesty człowiek - Gilbert Keith Chesterton

W powieściach i gazetach roi się dziś od niezliczonych aluzji na temat popularnej postaci – tak zwanego jaskiniowca.



W powieściach i gazetach roi się dziś od

niezliczonych aluzji na temat popularnej postaci – tak zwanego jaskiniowca.

Wiekusty człowiek

**Gilbert Keith Chesterton**

wydawca: Fronda

ilość stron: 440

Człowiek w jaskini

Gdzieś daleko, w nieznanej konstelacji, w nieskończenie odległej części nieba znajduje się gwiazdka czekająca na odkrycie przez astronomów. W każdym razie w oczach ani gestach większości astronomów i naukowców nie dostrzegłem jak dotąd żadnego dowodu na to, że ją odkryli, chociaż prawdę mówiąc, przez cały czas mieli ją pod stopami. Jest to gwiazdka rodząca przedziwne rośliny i zwierzęta, z których najdziwniejsi są naukowcy. W taki mniej więcej sposób zacząłbym opis dziejów świata, gdybym chciał trzymać się naukowego zwyczaju zaczynania od astronomii. Staralibyśmy się spojrzeć nawet na naszą

Ziemię z zewnątrz, nie głosząc wyświechtanych frazesów o jej położeniu względem Słońca, ale wysilając wyobraźnię, aby pojąć, jak odległa musiałaby być dla niehumanoidalnego obserwatora. Nie wierzę jednak, że trzeba być niehumanoidalnym, żeby badać ludzkość. Nie sądzę, że warto skupiać się na odległościach, które mają pomniejszyć świat; zdaje mi się, że jest coś odrobinę pospolitego w pomysłach, by przyganiać duchowi z powodu jego niewielkich rozmiarów. Skoro nie mogę wprowadzić w czyn mego pierwszego pomysłu i przedstawić Ziemi jako dziwnej, a przez to bardziej znaczącej planety, nie zniżę się do odwrotnej sztuczki i nie pomniejszę Ziemi, by stała się mniej znacząca. Będę raczej uparcie twierdził, że to, iż jest planetą, nie jest tak samo pewne jak to, że jest ona pewnym miejscem, i to miejscem zupełnie wyjątkowym. W taki ton pragnę uderzyć od początku, jeśli nie z astronomicznego, to może z bardziej swojskiego punktu widzenia.

Jedną z moich pierwszych dziennikarskich przygód, a raczej porażek, dotyczyła notatki na temat Granta Allena, który wydał książkę o „ewolucji pojęcia Boga”. Stwierdziłem w niej, że byłoby o wiele ciekawiej, gdyby Bóg napisał książkę o ewolucji pojęcia Granta Allena. Pamiętam, że wydawca zaprotestował przeciwko temu stwierdzeniu z powodu jego bluźnierczej wymowy, co, rzecz jasna, nieźle mnie ubawiło. Cały dowcip polegał na tym, że wydawca w ogóle nie zadał sobie trudu, żeby przeczytać – bez wątpienia bluźnierczy – tytuł recenzowanej książki, który przetłumaczony na zrozumiały język brzmiałby mniej więcej tak: „Pokażę wam, w jaki sposób wyrosło wśród ludzi to niedorzeczne przekonanie, że Bóg istnieje”. W mojej uwadze, stwierdzającej istnienie Bożego planu nawet w zjawiskach na pozór mrocznych i bezsensownych, nie było nic bezbożnego ani niestosownego. Wiele się wówczas nauczyłem, między innymi tego, jak wielką rolę w takim rodzaju agnostycznej pobożności odgrywa sama

akustyka. Wydawca nie zrozumiał, o co mi chodziło, bo w tytule książki długie słowo stało na początku, a krótkie na końcu, natomiast moja uwaga zaczynała się od krótkiego słowa, i to go poraziło. Zauważyłem, że jeśli umieści się w jednym zdaniu słowa takie jak „Bóg” i „bóbr”, to te krótkie, kanciaste wyrazy działają na ludzi jak strzały z pistoletu. Nieważne, czy napisze się „Bóg stworzył bobra” czy „bóbr stworzył Boga” – nad takimi kwestiami toczą jałowe dyskusje jedynie zbyt dociekliwi teologowie. Ale jeśli zacznie się od długiego słowa, takiego jak „ewolucja”, resztę zdania czytelnik przełknie gładko. Mój wydawca zapewne nie przeczytał tytułu do końca, bo był to dość długi tytuł, a wydawca był dość zajęтым człowiekiem.

Owo drobne wydarzenie pozostało jednak w mej pamięci na zawsze jako rodzaj przypowieści. Większość historii ludzkości zaczyna się od słowa „ewolucja” i od przydługich wyjaśnień na jej temat, z tych samych przyczyn, które wyjaśniła mi moja przygoda. W samym słowie „ewolucja”, a także w jego znaczeniu, jest coś powolnego, łagodnego i kojącego. W rzeczywistości, w odniesieniu do rzeczy pierwszych, nie jest to bardzo praktyczne słowo ani bardzo przydatne pojęcie. Nie można sobie wyobrazić, w jaki sposób nic zaczęło być czymś. Wyobrażenia tego ani na jotę nie przybliży wyjaśnianie, w jaki sposób coś stało się czymś innym. Naprawdę o wiele logiczniej jest zacząć od słów: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”, nawet jeśli chce się powiedzieć jedynie: „Na początku jakaś niewyobrażalna siła zapoczątkowała jakiś niewyobrażalny proces”.

Bóg bowiem to nic innego jak imię tajemnicy, a nikt przecież nie sądzi, że człowiek może wyjaśnić stworzenie świata, a tym bardziej go

dokonać. Ewolucję jednak mylnie bierze się za takie wyjaśnienie. Ma ona jedną fatalną cechę: wielu napawa przekonaniem, że zrozumieli nie tylko ją samą, ale i wszystko inne; podobnie jak wielu ludzi się, że przeczytało O pochodzeniu gatunków.

Złudzenie to wynika w dużej mierze właśnie z wyobrażenia sobie stopniowego i powolnego procesu, przypominającego wchodzenie pod górę. Jest to wyobrażenie nie tylko złudne, ale i nielogiczne, bo tempo nie ma tu tak naprawdę żadnego znaczenia. Wydarzenie nie staje się bardziej czy mniej zrozumiałe przez to, że dzieje się wolniej albo szybciej. Dla człowieka, który nie wierzy w cuda, cud, który dokonał się powoli, będzie tak samo niewiarygodny, jak cud, który dokonał się w mgnieniu oka. Podobno pewna grecka czarownica zmieniła kiedyś żeglarzy w świnie jednym machnięciem różdżki. Ale nie byłoby wcale bardziej pocieszające, gdyby jakiś znany nam oficer marynarki przez wiele dni upodabniał się do prosiaka, aż w końcu wyrosłyby mu racice i świński ogon. Podobno pewien średniowieczny czarodziej sf runął jak ptak ze szczytu wysokiej wieży. Gdybyśmy jednak zobaczyli starszego pana przechadzającego się w powietrzu wolnym, statecznym krokiem, nie byłoby to zjawisko prostsze do wyjaśnienia. A jednak w całym racjonalistycznym podejściu do historii panuje owo dziwne i niedorzeczne przekonanie, że można uniknąć trudności, a nawet usunąć tajemnicę, jeśli dostatecznie podkreśli się zwykłe spowolnienie czy też rozmycie biegu zjawisk.

Konkretnymi przykładami zajmiemy się kiedy indziej, teraz chodzi jedynie o tę atmosferę fałszywej łatwości i wygody, jaką stwarza obietnica nierozwijania zbyt dużej prędkości; obietnica ta mogłaby może pocieszyć nerwową staruszkę wsiadającą pierwszy raz do samochodu.

Pan H.G. Wells przyznał, że jest prorokiem, i pod pewnym względem rzeczywiście okazał się prorokiem dla samego siebie. Interesujące, że jego pierwsza baśń stanowi wyczerpującą odpowiedź na jego ostatnią historię świata. Wehikuł czasu z wyprzedzeniem zdyskredytował wszystkie wygodne konkluzje oparte wyłącznie na względności czasu. Bohater tego podniosłego koszmaru widział drzewa strzelające z ziemi jak zielone rakiety, roślinność rozprzestrzeniającą się niczym zielony pożar i słońce przelatujące ze wschodu na zachód z szybkością meteoru. Jednak w jego odczuciu zjawiska te nie były mniej naturalne przez to, że działały się szybko, tak jak w naszym odczuciu nie są one mniej nadnaturalne przez to, że dzieją się powoli. Najważniejszym pytaniem jest to, dlaczego takie rzeczy w ogóle się dzieją. Każdy, kto naprawdę rozumie jego sens, wie, że było to i będzie zawsze pytanie religijne, a w każdym razie filozoficzne czy też metafizyczne. Dla kogoś takiego nie będzie odpowiedzią zastąpienie zmian szybkich – wolnymi, czyli sprowadzenie problemu do zwiększenia albo zmniejszenia tempa opowieści, jak może to zrobić w kinie każdy operator, wolniej albo szybciej pokręcając korbką.

Problemy dotyczące prymitywnych form istnienia trzeba rozważać niejako w duchu prymitywizmu. Przywołując wizję zjawisk pierwotnych, chciałbym zaprosić czytelnika do podjęcia eksperymentu, eksperymentu w dziedzinie prostoty. Mówiąc o prostocie, nie mam na myśli głupoty, ale raczej pewien rodzaj jasności, która umożliwi dostrzeżenie konkretów takich jak życie, a nie słów takich jak „ewolucja”. Może tym razem rzeczywiście przydałoby się szybciej pokręcić korbką wehikułu czasu – zobaczyć rosnącą trawę i drzewa strzelające ku niebu – jeśli w ten sposób łatwiej byłoby zebrać, podsumować i uwy- puklić rezultat całego przedsięwzięcia. Wiemy – a

w pewnym sensie nie wiemy nic poza tym – że trawa i drzewa rzeczywiście wyrosły i że naprawdę dzieje się wiele innych niezwykłych rzeczy; że pewne dziwne stworzenia utrzymują się w powietrzu, machając wachlarzami o fantastycznych kształtach; że inne dziwne stworzenia przemykają żywe pod olbrzymim ciężarem wód; że jeszcze inne dziwne stworzenia chodzą na czterech nogach, a najdziwniejsze ze wszystkich chodzi tylko na dwóch. Nie są to teorie, tylko konkrety, w porównaniu z którymi ewolucja i atom, a nawet system słoneczny są tylko teoriami. Przedmiotem naszych rozważań jest historia, a nie filozofia, dlatego wystarczy wspomnieć, że żaden filozof nie przeczy, iż dwie wielkie przemiany – powstanie wszechświata i powstanie zasady życia – nadal owiane są tajemnicą. Większość filozofów jest na tyle oświecona, by przyznać, że tajemnicą jest również trzeci problem – pochodzenie człowieka. Innymi słowy, trzeci most został przerzucony nad trzecią otchłanią niemożliwości, gdy na świecie pojawiło się to, co nazywamy rozumem, i to, co nazywamy wolą. Człowiek nie powstał w wyniku ewolucji, lecz raczej rewolucji. To, że kręgosłup czy inne elementy budowy upodabniają go do ptaków i ryb, jest faktem oczywistym, cokolwiek miałyby on znaczyć. Jeśli jednak próbujemy uznać człowieka za czworonoga, który stanął na tylnych łapach, przekonujemy się, że daje to efekt o wiele bardziej fantastyczny i wywrotowy, niż gdybyśmy kazali mu stanąć na głowie.

Dam tu pewien przykład, który posłuży za wstęp do historii człowieka. Stanowi on dobrą ilustrację mojego stwierdzenia, że potrzeba dziecięcej szczerości, aby móc dostrzec prawdę o dzieciństwie świata. Stanowi on również dobrą ilustrację innego mojego stwierdzenia, że mieszanina popularnonaukowej wiedzy i dziennikarskiego żargonu tak bardzo zaciemniła fakty dotyczące rzeczy pierwszych, iż nie widzimy już, która z nich naprawdę była pierwsza. Jest to również przydatna,

choć jed- nostronna ilustracja tego wszystkiego, co powiedziałem o konieczności widzenia ostrych granic, nadających kształt historii, zamiast pławienia się w morzu uogólnień o powolności i podobieństwach. Potrzeba nam bowiem rzeczywiście, jak to ujął pan Wells, zarysu historii. Ośmielamy się jednak twierdzić, parafrazując słowa pana Mantaliniego, że ewolucyjne podejście do historii nie ma zarysów, albo że jest tylko diabelnym zarysem.

Mój przykład stanowi jednak przede wszystkim ilustrację twierdzenia, że im usilniej postrzegamy człowieka naprawdę jako zwierzę, tym mniej je on przypomina. W powieściach i gazetach roi się dziś od niezliczonych aluzji na temat popularnej postaci – tak zwanego jaskiniowca. Wygląda na to, że znamy dość dobrze nie tylko jego karierę publiczną, ale także życie prywatne. Jego psychikę na poważnie opisują powieści psychologiczne i sama psychologia. O ile rozumiem, jego głównym zajęciem było poniewieranie własnej żony, albo raczej odnoszenie się do kobiet w ogóle w sposób, który w języku filmu określa się jako „ostrą jazdę”. Nigdy nie natknąłem się na żadne dowody tych przypuszczeń i nie wiem, na jakich prymitywnych pamiętnikach albo sprawach rozwodowych się one opierają. Nie potrafię także, jak wyjaśniłem gdzie indziej, uznać ich za prawdopodobne, nawet jeśli rozważa się je *a priori*. Otóż wmawia się nam, bez przytaczania żadnych wyjaśnień ani autorytetów, że prymitywny człowiek, wymachując maczugą, najpierw ogłuszał, a potem porywał swoją wybrankę. W świetle wszelkich możliwych analogii do świata zwierzęcego zakrawałoby to jednak na niezdrową wręcz skromność i opieszałość ze strony wybranki, gdyby za każdym razem upierała się, że zanim pozwoli się porwać, musi wpierv dostać po głowie. Powtarzam: nigdy nie zrozumieć dlaczego, skoro mężczyzna był takim brutalem, kobieta miałaby być tak subtelna. Jaskiniowiec może i był bydlakiem,

ale nie ma powodu, by uważać go za gorszego od bydła. A przecież miłostki żyraf i rzeczne romanse hipopotamów odbywają się bez żadnych tego typu wstępnych potyczek czy awantur. Jaskiniowiec może i nie był lepszy od niedźwiedzia jaskiniowego, ale przecież żadna młodociana niedźwiedzica nie przejawia tego rodzaju skłonności do staropanieństwa. W każdym razie szczegóły życia rodzinnego w jaskini są dla mnie zagadką zarówno z punktu widzenia statycznej, jak i rewolucyjnej teorii dziejów, i chętnie przyjrzałbym się dowodom na ich prawdziwość, ale, niestety, nigdy nie udało mi się ich znaleźć. Najdziwniejsze jednak jest to, że choć dziesięć tysięcy języków powtarzało te mniej albo bardziej naukowe lub literackie plotki o nieszczęsnym osobniku zwanym jaskiniowcem, zanedbywano przy tym jedyny kontekst, w którym mówienie o nim jako o jaskiniowcu byłoby rzeczywiście rozsądne i uzasadnione. Posługiwano się tym mglistym terminem na dziesiątki mglistych sposobów, ale nie przyjrzano mu się ani razu, żeby stwierdzić, co się za nim kryje.

Faktycznie bowiem interesowano się wszystkim, co robił jaskiniowiec, oprócz tego, co robił w jaskini. Ślady tej działalności, jak wszystkie prehistoryczne ślady, nie są liczne, ale dotyczą prawdziwego jaskiniowca i jego jaskini, a nie fikcyjnego jaskiniowca i jego maczugi. Nasze poczucie rzeczywistości skorzysta na tym, jeśli po prostu przyjrzymy się tym śladom i na nich poprzestaniemy. W jaskini nie znaleziono przecież maczugi – tej straszliwej zakrwawionej maczugi z rzędem nacięć oznaczających liczbę kobiet, które dostały nią po głowie.

Jaskinia nie okazała się jaskinią Sinobrodego, pełną szkieletów zamordowanych żon; nie znaleziono w niej ustawionych rzędami kobiecych czaszek, strzaskanych jak skorupki jajek. Znaleziono w niej coś absolutnie i pod żadnym względem niezwiązanego z dzisiejszymi

anegdotami, filozoficznymi wnioskami czy literackimi plotkami, tak bardzo zaciemniającymi całą kwestię. I jeśli chcemy ujrzeć ów przebłysk poranka historii takim, jakim naprawdę był, lepiej będzie nawet historię jego odkrycia przedstawić sobie jako legendę z krainy poranka. Lepiej będzie opowiedzieć o odkryciu tego, co zostało odkryte, równie prosto, jak o bohaterskich odkrywcach Złotego Runa albo Ogrodu Hesperyd, jeśli dzięki temu zdołamy wyjść z mgieł sprzecznych teorii i ujrzeć, jak światło świtu wydobywa jasne kolory i wyraźne kontury przedmiotów. Dawni poeci epiccy umieli przynajmniej opowiadać historie. Może nieco je ubarwiali, ale nigdy ich nie wypaczali i nie naciągali na siłę do rozmaitych teorii i filozofii wynalezionych po wiekach. Byłoby dobrze, gdyby współcześni badacze potrafili opisać swoje odkrycia śmiałym narracyjnym stylem pierwszych podróżników, zamiast używać długich, sugestywnych słów, w których roi się od aluzji bez związku. Może wówczas moglibyśmy sobie uświadomić, co tak naprawdę wiemy o jaskiniowcu, a przynajmniej o jego jaskini.